

Historyk pamięci Nabazgrane niedbale, absolutnie zbędne i niepotrzebne nikomu uwagi na marginesie Powrotu Aleksandra Zbigniewa Kruszyńskiego

„Układając w samolocie marszrutę, nie przewidywał wędrówek po rodzinnym mieście, takiego samozapłonu nostalgii, metafizycznych skurczów w tyłce, nadprodukcji smętnych aforyzmów (...)”¹.

Smutny Aleksander powraca do Polski. Jednak. Po piętnastu latach trwania w złożonej sobie, solennej obietnicy, która brzmiała – już tutaj nie wrócę. Właściwie świat ten tak bardzo się nie zmienił, to Aleksander jest w nim tym Innym, obcym. Zmieniony przez nieobecność, spaceruje dawnymi ścieżkami, tropi, niczym detektyw, własną pamięć. Ktoś mógłby nieśmiało zapytać, jaki jest cel tej indywidualnej imigracji we własną przeszłość? Po co, u diabła, ktoś, kto zapomina, nagle postanawia i chce sobie przypomnieć? Jeżeli o czymś zapominamy, z pewnością nie było nam to potrzebne. To znaczy, nie wtedy, gdy zapominamy kluczy do mieszkania albo parasolki, lecz na przykład kaleczące słowa, powiedziane w złości lub dawne przewiny, które upokarzają równie boleśnie, co zbiorowa anamneza. Kiedy człowiek już wystarczająco długo przypatruje się swojemu życiu, a ono wciąż uparcie nie przypomina tego obrazu, który niegdyś budował pieczołowicie ze skrawków dziecięcych marzeń i pragnień, pewnego dnia postanawia zacząć nowe. Otworzyć Księgę Istnienia na kolejnym rozdziale, udając, że jest on pierwszym.

„Trzepał wycieraczkę z ganku (...). Nigdy nie przestawało się z niej kurzyć, choć ją akurat kupił czystą w Ikei, gdzie nie lubił jeździć, bo udowadniała, że nowe życie można zacząć od czegokolwiek, od wtorku. Nowożeńcy i rozwodnicy wyjeżdżali stamtąd kompletnie wyposażeni, kilka ruchów śrubokrętem i historia zaczyna się od początku (...)” (s. 151).

Twarze ludzi stopniowo zacierają się w pamięci, nie mają szans wobec napływu nowych informacji, świeżych, atrakcyjnych, nieskażonych błędem. I wydawałoby się, że człowiek, który postanowił zapomnieć, zawsze już będzie szczęśliwy. Grzesznik, który zapomina, zwolniony zostaje z obowiązku szczerej spowiedzi. Tak dzieje się codziennie. Na całym świecie. Czemu więc pewnego dnia, ten sam rozgrzeszony względem siebie człowiek, postanawia sobie przypomnieć? Najpewniej dlatego, że zapomniał już, czemu chciał zapomnieć.

* * *

Pamięć jest doprawdy podłym wynalazkiem. Żartem, kaprysem natury, ... przyczyną ewolucji? Ach nie, to przecież było słowo, to ono usankcjonowało naszą wiedzę, pozwoliło ją gromadzić i weryfikować, początkowo w ludzkich umysłach, wirtualnych księgach przeszłości. Ale jak to właściwie jest, czy to dzięki słowu pamiętamy, czy może pamięć pozwala

¹ Wszystkie cytaty, o ile nie zostały oznaczone i zlokalizowane inaczej, pochodzą z wydania: Z. Kruszyński, *Powrót Aleksandra*, Kraków 2006, s. 105.

nam używać tych abstrakcyjnych, niemających przecież żadnego związku z rzeczywistością poznawalną zmysłami, znaków? Oba te elementy wydają się nierozłączne, *ab ovo*, czym bowiem byłaby syntagma, gdyby zerwana została więź z jej poprzedniczką, lub gdyby następczyni nie miała o niej bladego pojęcia? Okazałaby się pustym impulsem energii, jej strąką, wolnym elektronem, który w pewnym momencie wiązałby cokolwiek, gdziekolwiek, bez znaczenia. Nie byłoby ani historii, zachowanej chronologii zdarzeń, ani czasu o strukturze liniowej, tylko rozproszone wiązki bezpłodnych sygnałów. Nie stalibyśmy się nigdy świadkami narodzin kultury oralnej, wszak to ona przecież, zaprzęgając do pracy addycję, nagromadzenie, redundancję, używając mnemotechnik, dała niejako świadectwo uprzedniości i prymatu pamięci wobec słowa. Jednak nie byle jaka była to pamięć, która pozwoliła przetrwać wiedzy w baśniach, podaniach, historii – wiedzy zahibernowanej do czasu, gdy piśmo, cudowne dziecko słowa, stało się faktem. Kultura po Gutenbergu pożarła, wchłonęła swojego przodka, zabiła w nas tę pamięć, nieodżałowaną, pozostawiając nam jedynie żalony, acz potężny zbiór narzędzi, byśmy mogli regularnie dokonywać platońskiego *anamnesis*. Aleksander nie pamiętał nazwisk sygnatariuszy, pamiętał jedynie papier, który miał pozółknąć, świadectwo historii było tylko epizodem w jego zakurzonej pamięci.

„Potem tak długo odpowiadał: nie wiem, nie pamiętam – krew z rozciętej wargi krzepła, powodując i w mózgu jakiś zakrzep, zastój – że w końcu o skrytce naprawdę zapomniał i nigdy już nie sprawdził, czy papier ładnie pozółknął” (s. 94–95).

Narzędzia pisma, niejednokrotnie są w stanie przetrwać wieki, niezwykle prawdopodobne jest, że nasze wiersze zapisane na chusteczce do nosa w czasie jakiegoś nudnego wykładu, przeżyją nas nawet o całe lata. Ale bez tych narzędzi bylibyśmy kalecy, zdani na błędzenie wśród niejasnych wspomnień. Po prostu – ułomni.

* * *

Długo nam współczesnym zajmuje przypominanie sobie, na czym właściwie polega prawdziwe życie. Musimy w związku z tym przeczytać dużo różnych mądrych książek, wejść w dyskurs, zaplątać się w siatkę interpretacji i nadinterpretacji... Współczesność jest wciąż trwającym przypominaniem sobie tego, co kiedyś wiedzieliśmy, a co nieopatrznie, bezwiednie zapomnieliśmy, bo ktoś nas przekonywał przez osiemnaście lat naszej edukacji, że zawsze możemy i będziemy mogli odnaleźć tę wiedzę, kiedy tylko zechcemy. Postmoderniści są zgodni w jednej kwestii – wszystko już było. Zmieniła się tylko jednostkowa umiejętność przyswajania, okazała się odwrotnie proporcjonalna w stosunku do naszych niewyobrażalnie rozwiniętych narzędzi opisu rzeczywistości. Każde następne pokolenie dorastać będzie w coraz większej sklerozie, przekonane, że cała ludzka wiedza może zmieścić się w telefonie, na karcie, na dysku, na CD-romie. A Aleksander, reprezentant minionej epoki, ...

„Znał tu wszystkie przejścia, podwórka, skróty, pamiętał, gdzie krawężnik się obniżał, a gdzie trzeba było w utamku sekundy poderwać przód roweru, jeśli nie chciało się stanąć dęba. Obliczenia zgadzały się co do metra, system dziesiętny jest trwały, a droga do szkoły (...) pozostaje zawsze miarą odległości, choćby na drugiej półkuli i w innych trampkach” (s. 103).

Mały człowiek codziennie jest dziś wystawiany na bodajże najcięższą próbę w historii ludzkości – musi przyswoić, przeanalizować, przefiltrować, wdrożyć w siebie – miliony sy-

gnałów, treści jawne i niejawne, informacje zbędne i niezbędne... Zagubienie absolutne dokonuje się, kiedy tylko wyjdzie on poza świat swojego podwórka, wkroczy w dorosłość. Wciąż zapominamy, że, mimo najszczęśliwszych chęci, nie jesteśmy w stanie przyswoić sobie całej tej wiedzy, zachować jej, rozwijać. Druk zabił w nas kosmos pamięci, a specjalizacja – ostatniego prawdziwego humanistę. Dziś krążymy w uniwersum Google – wszystko, zawsze i wszędzie, nasza pamięć podręczna, od niedawna już nawet dosłownie. Kiedyś hitem były małe podręczne translatory, dziś w naszej Nokii, Sagemie, Siemensie (która to nazwa *notabene* dla naszych dziadków straszniejsze miała desygnaty) nosimy cały świat. Zapominając, że to świat perspektyw. I tak, jak współczesność jest wciąż trwającym przypominaniem sobie zanegowanej przeszłości, starość pozostaje niezmiennie przypominaniem sobie życia, ponieważ nasza droga od dzieciństwa w dorosłość okazuje się drogą amnezji. Aleksander to tylko jeden z wielu, którzy na pewnym etapie rozpaczliwie próbują odwrócić ten proces.

„Najpierw pójdzie na cmentarz, poddać się dekompresji w bezpiecznym miejscu, mało podatnym na zmiany, zawsze lubił tam chodzić” (s. 92).

„Najpierw pojechał na cmentarz, to było pewne” (s. 100).

Z zaciśniętymi piąstkami, niczym płaczące w złości dzieci, próbujemy wierzyć, że powrót stanie się możliwy, że nic się nie zmieniło, że świat pozostawiony w danym punkcie naszej historii nie poszedł dalej. Niestety, wbrew temu, w co wierzy Aleksander, cmentarz jest miejscem o sumie zmian, która jedynie pozornie pozostaje *constans*. Być może dla niego to faktycznie miejsce bezpieczne, widocznie nie pozostał mu już nikt bliski, kto zaburzy swoją obecnością równowagę tego zbioru. Ale może być takie tylko dla człowieka, który został sam na świecie, i nie ma już kogo żegnać, chować. Naiwnością byłoby myślenie, że na świat składać się może tylko on, tylko jeden aktor. Bo uniwersum znacznie większe ma granice, niż jego śmieszne istnienie. Być może w ogóle nie ma granic.

„Bohaterowie żenili się i rozwodzili (...). Ktoś cierpiał i ktoś, kto został lekarzem, nie potrafił mu pomóc. Czyjaś rozpacz nie dawała się ukoić. To wszystko się zdarzyło i żaden wirus amnezji, awaria komputera, nie wymiecie tego z pamięci” (s. 105–106).

Bo świat nie czeka na nas. Na ludzką aprobatę. Kroczy sobie spokojnie, nie oglądając się na nasze postanowienia.

* * *

Z tą perspektywą to jest tak... Każda istota ludzka okazuje się sama w sobie takim orbitującym elektronem, przyciąga do siebie strzępki informacji i, chociaż zdaje sobie sprawę, że jej pole obserwacji jest dosyć zawężone, to uparczywie wypuszcza przed siebie swoje małe sondy. Jawi się jako drobne, narysowane ręką dziecka słońce. Jego promyki, początkowo nie sięgające poza obszar rodzinnych znaczeń, są krótkie, łapią tylko to, co w ich zasięgu. Pielęgnowujemy je wszystkie, bo każdy wydaje się ważny, ponieważ razem utrzymują nas we względnej równowadze. Z czasem, okazuje się, że jest ich zbyt wiele, niektóre łączą się, *no lens volens*, z cudzymi. Jeśli spłotą się wystarczająco mocno, życie dwojga ludzi już zawsze będzie związane, a wiedza, którą mają, będzie sumą, lecz jedynie ich wspólnego zbioru.

– A pamiętasz jak...?

– Nie.

– Niech Ci przypomnę.

Niech to będzie ten najpiękniejszy, najspokojniejszy wieczór zeszłorocznych wakacji, a może ten najgorszy.

– Tak? Tak było? – uśmiechamy się, niepewnie potakując.

– Nie, to nie możliwe. – kręcimy głową przecząco.

Będziemy pamiętać lub nie, lecz na cudze wspomnienie zgodzimy się tylko wtedy, gdy będzie tym, które chcielibyśmy zachować. W przeciwnym wypadku przepadło. Dla nas. Negujemy więc historię, niezależnie od tego, jak fragmentaryczna jest nasza wiedza o niej. Wstyd, zarówno jednostkowy, jak i zbiorowy, fałszuje przeszłość. I pewnego dnia:

„Powiatowy aparatczyk, kieszonkowy Stalin, przez lata postrach okolicy, okazywał się działaczem społecznym o szczególnych zasługach w przemyśle mleczarskim. Lokalny cenzor umarł jako twórca towarzystwa etnologicznego, biedak nie zdążył już adiuutować swojego nekrologu. Szef policji, zapalony wędkarz, pogrążył w żalobie całą ichtiologię i ławice układały się w kondukt (...)” (s. 93).

W miarę jak dorastamy, im więcej jest tych promyków, im gęstsze się stają, tym mniej panujemy nad nimi. Umysł dokonuje więc, naturalnej przecież, niezwykle skrzętnej selekcji wśród tego, co ważne. Zło będzie istotne, jeśli pielęgnujemy w sobie nienawiść. Dobro, gdy spokój. Smutek, jeśli nie szukamy już nadziei. W dniu narodzin jesteśmy niczym latarnia. Albo sonar. Sondujemy wszystko wokół, nieznanne, niepewne. Kiedy społeczeństwo, nasz dom lub ludzki świat wskażą nam kierunek, przestajemy spacerować swoją percepcją po osi koła. Obieramy jeden szlak, a dane zebrane z pozostałych regionów stopniowo się dezaktualizują.

– A pamiętasz Kasię?

– Tak, i te jej warkoczki!

– Jakie warkoczki? Teraz jest łysa. Ma raka.

Światy, w których raz zgodziliśmy się na swoją nieobecność, przechodzą pod panowanie niedesyfrowalnej już nigdy tajemnicy. Sekretne komnaty przysypane ziemią, gruzem, już zawsze pozostaną dla nas niezbadane.

„Raz chciałem zadzwonić pod jakiś stary numer, z ciekawości, bo wciąż potrafił odtworzyć kombinację cyfr, ale płaski głos telefonistki oznajmił, że numer nie istnieje, i dotąd niezłamany szyfr sam się rozsypał” (s. 99).

* * *

Są wszakże w naszej historii sprawy, o których nie wolno nam zapomnieć. Twarze zmarłych przyjaciół i bliskich, matek i ojców, Żydów wpychanych do komory gazowej. Ale przecież każdy jeden człowiek pamięta inaczej... Bo nasza pamięć opowiada nam baśnie i, jak każdy profesjonalny opowiadacz, dostosowuje przebieg fabuły do naszego indywidualnego doświadczenia, tak jak to miało miejsce w przytoczonym przez Brunona Bettelheima przypadku:

„Pewna młoda kobieta pamiętała *Jasia i Małgosię* przede wszystkim jako historię przedstawiającą zależność Małgosi od starszego brata i zarzucała opowieści »męski szowinizm«. Według odtwarzanego przez nią toku wydarzeń baśniowych – a twierdziła, że pamięta je bardzo dobrze – dzieci zawdzięczały swe ocalenie wyłącznie przemyślności Jasia, i on też wepchnął czarownicę do pieca, wybawiając Małgosię. Kiedy kobieta owa przeczytała tę baśń na nowo, zdumiona była, jak bardzo przekształciła ją

w swej pamięci (...) uświadomiła sobie, że przez całe dzieciństwo z upodobaniem zdawała się na niego starszego brata, uzależniając się od niego. (...) Przekształcenie to miało jeszcze inny doniosły motyw (...) Śmierć jej matki nastąpiła w momencie, gdy brat był nieobecny, musiała więc sama poczynić przygotowania do kremacji (...). Dlatego nawet powracając do baśni już jako osoba dorosła, odrzuciła myśl, że czarownica została spalona za sprawą Małgosi (...)”².

Takie i inne fikcje są nieodłącznym elementem naszego, w powszechnym mniemaniu zawsze sprawdzalnego, zbioru. Pamięć Aleksandra, dysponująca zaledwie szczątkowymi danymi o tych piętnastu latach minionych pod jego nieobecność, prezentuje mu równie ciekawe sofizmaty:

„Teraz znów ceny mieszkań wydały mu się niebotyczne (...). A przecież – myślał – każdy gdzieś mieszka, więc staliśmy się bogatym narodem” (s. 119).

Pamiętamy rzeczy piękne, ale pamiętamy też rzeczy brzydkie jako piękne – czemu? Odpowiedź jest prosta – ponieważ chcemy tak je zapamiętać. Nie tylko społeczeństwo aspiruje do tego, by manipulować naszą pamięcią, sami mamy też w tym swój całkiem czynny udział. Kiedy zdarzy się wypadek, nie chcemy patrzeć na krew na chodniku, boimy się, że wsiąknie w nas i przeżre nas od środka, że będzie śnić się nocami rozlana po rozległych potłaczach siatki naszej pamięci. Z tej samej przyczyny, gdy umiera nam ukochana osoba, wahamy się, czy wejść do kościoła, spojrzeć na wystawione w trumnie ciało, pożegnać się po raz ostatni, posmakować śmierci. I ten człowiek, kiedyś nam bliski, dziś zimy i nieruchomy pośród kwiatów – czy to chcemy zapamiętać? Nie. O wiele chętniej pielęgnujemy wspomnienia o żywych, ponieważ dają nam to złudzenie, że człowiek to nie tylko proch, cień, że nie taka jest droga i nie taki jej koniec. A przecież jest. I mój, i Wasz. W zamian za to pozwalamy, by nasza pamięć nas oszukiwała i robimy to, jak na mój gust, zbyt dobrowolnie.

* * *

„Twarze (...) Poorane, przedwczesnych starców, z czarnym piaskiem w zmarszczkach. Bytujące poza wiekiem, zniszczone ospą i alkoholem. Pызate twarze dziewczynek, nie patrzeć (...). Zajął się ulubionym ćwiczeniem fizjonomistów, starał się odtworzyć z pamięci twarze widziane ostatnio, plon dwóch tygodni (...)” (s. 139).

Mówimy: puścić wodze fantazji... A gdyby tak puścić wodze pamięci? Tylko jak? Ano, wsiada się do tramwaju, względnie autobusu czy samochodu i wyrusza w podróż po mieście swojego dzieciństwa, tak, jak Aleksander robi to na piechotę. Tym razem pozwalamy oczom oglądać to, co na zewnątrz, mościmy się wygodnie przy oknie. Pozwólmy sobie przypomnieć. Tę ławkę, ten przystanek, budynek, plac lub kościół. Pozwólmy pamięci się rozprężyć, kojarzyć, obrazy powinny przyplłynąć do nas same. To jest nasze życie, którego nie mamy odwagi pamiętać, bo czasami boli. Bo przeważnie boli. Bo już minęło.

² B. Bettelheim, *O sztuce opowiadania baśni*, tłum. D. Danek [w:] *Antropologia słowa*, pod red. G. Godlewskiego, Warszawa 2003, s. 220.

* * *

Młoda wdowa nigdy nie wpuści do sypialni nowego kochanka, zanim nie spali pościeli, nie wyrzuci łóżka, nie przemałuje ścian, zanim najpewniej odejdzie, ucieknie, jeśli taką los da jej szansę. Niech nawet kogoś pokocha – jak mogłaby mu spojrzeć w oczy i powiedzieć – w tym łóżku został splotzony mój pierwszy syn, moja pierwsza córka. Pamięć do prawdy jest przeklętym wynalazkiem. Jednak niszczy i buduje.

* * *

Istnieje pewna społeczna sankcja na zapomnienie, powszechny poklask dla ludzkiej niepamięci. Kolektywnie pozwalamy sobie zapominać. Dla wygody. Dla porządku. Przyjmujemy, że ta a nie inna definicja jest definitywna. Że świat ani nie zawiera się na stronach Wikipedii, ani sam w sobie nie jest skończony, że to tylko fragment, niewielki skrawek, nawet nie nieba. My, małe słoneczka, z długimi promieniami wyciągniętymi w stronę teorii, praktyki, ekonomii, turystyki, coraz drobniejsze napotykały podziały. Coraz bardziej drobiazgową staje się każda specjalizacja i rozpaczliwszy krzyk o pełen obraz, o tę prawdę, której *de facto* nie ma. Antropolog i fizjolog nigdy nie potączą się w magicznych zaślubinach syntezy sztuk. I śmiechu warta bywa ta tęsknota upośledzonego słoneczka, ta aspiracja, żeby wiedzieć wszystko. Bo prawda o świecie nie jest sumą wiedzy o świecie, jak prawda o nas nie stanowi sumy wiedzy o nas. My przecież nawet nie dysponujemy narzędziami, by taką wiedzę zgromadzić. Nawet nie „wiedzieć”, w sensie scholastycznym. Wiedzieć, czyli po prostu – pamiętać. Tylko że to nie jest równanie z jedną niewiadomą, o którym wiemy, że musi mieć konkretny wynik. Ilość niewiadomych w równaniu pamięci będzie zawsze najwyżej nieskończona. Dlatego też wiem, że moja pamięć to pamięć sfałszowana. Jestem tego pewna, mimo że nikt nigdy mi przy niej nie majstrował, może poza mną samą. Jak więc wobec tego mogę nazywać ją pamięcią? To tylko perspektywa. Mała i śmieszna być może, równa sumie długości wszystkich moich promieni. Jestem jak ta latarnia, wrosnięta głęboko fundamentami w swój grunt, latarnia jedna pośród wielu, którymi usłano całą ziemię.

A skoro pamięć nie stanowi czegoś stałego, ani mojego, ani pewnego, ani trwałego... Skracają się bowiem z upływem czasu te promyki, kurczą nieuchronnie, aż nie pamiętamy już z lekcji fizyki, czym jest ta przeklęta klatka Faradaya. Jak sobie z tym poradzić?

„Obudziło go nad ranem własne chrapanie (...) podszedł do okna i zamknął je (...). Tak będzie ciżej – pomyślał, bo nie wiedział, kto chrapie” (s. 135).

Taką więc tylko, a nie inną wartość ma nasza pamięć. I wobec tego zrozumiała jest rozpacz każdego, kto napotka w swoim życiu tę właśnie ścianę.

* * *

Smutny Aleksander bawi się w historyka swojej pamięci. Z zawodu jest leksykografem, szuka więc paradygmatu, w którym mógłby umieścić własne wspomnienia. Lecz przecież to, co niewiadome, mogłoby nadać temu paradygmatowi inny kształt.

„W środku była książka, stan wojenny w świetle dokumentów (...). Na okładce autor wyjaśniał, że korzystał głównie z archiwów oficjalnych (...). To trochę tak – pomyślał Aleksander – jakby pisać historię wojen morskich w środowisku suchym” (s. 128).

To trochę tak, jakbym chciała pisać swoją historię tylko na podstawie tego, co pamiętam. Przecież każdy może próbować zostać takim kronikarzem lub historykiem, strażnikiem własnych wspomnień. Tyle że ani jedno ani drugie absolutnie nie ma sensu. Dziennik wykrzywi rzeczywistość, nie pozwoli zmieścić wszystkich faktów, z oczywistych względów pozbawiony będzie obiektywizmu. Zawartość to sam subiekt – czyli ja i mój ból lub moja radość. Pamiętnik pokaże, że ból był tylko złudzeniem, w życiu boleśniejsze przecież zdarzały się sprawy, a ostrze nie weszło tak głęboko, jak początkowo się zdawało. Z kolei radość okaże się przedwczesna lub prowadząca na manowce znaczeń, niepotrzebna, nieprawdziwa. Nie ma nic po środku.

„– Czy mogę pani – zwrócił się do barmanki – zostawić drobne?” (s. 130).

Ten gest Aleksandra jest symbolem pożegnania. Nikt nie wymienia drobnych monet w kantorach po powrocie z podróży. Zachowujemy je zawsze, na wypadek przewidywanego powrotu lub chociaż na pamiątkę. Bohater nie chce już pamiętać, wie, że poniósł klęskę, i nigdy nie powróci już, by kontynuować wykopaliska na swojej pamięci.

* * *

I ja mam pewien, dość poważny problem z pamięcią... W przeciwieństwie jednak do wielu ludzi, pamiętam zbyt dużo. Nie umiem wymazać z niej obrazów i ludzi, a ona puszcza swoje wodze sama, codziennie, bez mojej zgody, kiedy tylko podnoszę wzrok znad książki w drodze na Uniwersytet. Błogosławię pamięć, chociaż jest ułomna. Przeklinam ją, gdyż jest zbyt doskonała. Zachowam ją, bo jest moja. I choćby różniła się od cudzej, jak każdy człowiek będę walczyć, przekonana o jej prawdziwości. Nie mogąc się uwolnić, pozostanę, jak Aleksander, historykiem swojej pamięci, bo doprawdy ciekawy jest to zawód. Jak każdy historyk, z zachwytem będę oglądała kolejne małe znaleziska, z wciąż żywą nadzieją, że pozwolą mi one na coś więcej, niż tylko interpretację.

* * *

„Z nikim? Chce powiedzieć, że powraca po piętnastu latach, żeby zobaczyć się z nikim? (...) – Z nikim? – oficer niekiedy się zaciął. – W takim razie niech wymieni tu – podsunął kartkę (...) – wszystkich, z którymi się nie spotykał” (s. 156).

Justyna Kościelna rysunek nr 1